№ 13. Warszawa, dnia 16 (28) Marca 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . . **rs. 1 k. 25**
Półrocznie . . . . **rs. 2 k. 50**
Rocznie . . . . . . **rs. 5**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

☞ Na rok bieżący mamy przygotowanych wiele prac literackich i beletrystycznych, z których wymieniamy tylko najnowszą powieść historyczną Walerego Przyborowskiego p. t. ***„Rycerz Mora"***, obrazek Alberta Wilczyńskiego (Autora „Kłopotów starego Komendanta") p. t. ***„I miejże tu rozum!"*** oraz opowiadanie historyczne p. t. ***„Klemens Janicki"*** przez Michała Jezierskiego.

ŚWIĘCONE NA CZTERY RĘCE.

KOMPOZYCYA Z FINAŁEM MATRYMONIALNYM

ALEKSANDRA PÓŁKOZICA.

Nić życia nie z jednakiej wysnuwa się przędzy:
Ze złota, srebra, z szychu... lub też szarej — nędzy.

T. Olizarowski.

Wielkanocne święta, jako „ruchome", przypadają w rozmaitej porze...

W tym roku naprzykład, zjawiły się w dniu 5 kwietnia. Przed kilku jednak laty, mianowicie zaś w roku 1877 „Wielka Niedziela" przypadała w dniu pierwszym tegoż miesiąca.

Data fatalna! zwłaszcza dla małych lokatorów, opłacających komorne miesięcznie z góry!

Powinni byli pamiętać o tem ubożsi mieszkańcy pewnej, trzypiętrowej kamienicy, należącej do pana N. N., niegdyś „świadka" przy komorniku, później woźnego przy trybunale cywilnym — obecnie zaś obywatela miasta Warszawy i... procederzysty.

Gdzie stoi ta kamienica? Czy w którejś z wązkich uliczek *city* warszawskiej, czy może w innej, odległej od tego punktu dzielnicy? Rzecz to obojętna dla was, choć mnie wiadomo dokładnie.

Zresztą, przekonany jestem, iż każdy z czytelników, należący do jednego z trzech, w gramatyce oznaczonych rodzajów, wolałby „posiadać" jeden, chociażby tylko parterowy domek, w Ostrołęce naprzykład, — niż „wiedzieć" dokładnie, gdzie stoją wszystkie trzypiętrowe kamienice w Warszawie — bo chociaż „wiedza" jest rzeczą piękną i pożyteczną czasem, to „posiadanie" stanowi zawsze jedno z tych rozkosznych pieścidełek, którémi ludzie, wielcy i mali, rozumni i głupi, nacieszyć się dość nie mogą.

Ztąd też zapewne wynika, że w całym ucywilizowanym i giełdami ukamieryzowanym świecie, jejmość pani *Posesya* pożądańszą jest dla każdego, niż *Domina Scientia*, chociaż i ta ostatnia, w pewnych kółkach, używa wielkiej estymy.

Otóż, w tej trzypiętrowej kamienicy, nie oznaczonej tu z goła, lecz za to, odznaczonej aż dwoma numerami w księgach: hypotecznej i policyjnej, przez cały Wielki Tydzień panował ruch niezwykły.

Ruch ten jednakże, nieustanny i hałaśliwy na parterze, w którym mieściły się dwa frontowe sklepy — rześki na pierwszem piętrze a wesoły na

drugiem, malał i nikł prawie na najwyższej, ostatniej już kondygnacyi...

I nie dziw! Albowiem na parterze, w dwóch zamożnych i „dobrze reputowanych” sklepach, a raczej „składach”, według literalnego brzmienia ich tytułów szyldowych, sprzedawano—w jednym, wódki i likiery, wyrabiane w dystylarni pana N. N., wspomnianego już właściciela tej kamienicy, mieszkającego na pierwszem piętrze — w drugim zaś sukno i korty, bądź sprowadzane z zagranicy, bądź wyrabiane w jednej z fabryk krajowych, której akcyonaryuszem i to grubym... był właściciel owego składu a zarazem lokator z drugiego piętra, pan W., kupiec z dziada pradziada.

Trzecie piętro, zamieszkiwał, w połowie frontowej, niejaki pan K., urzędnik spadły z etatu, pobierający też i połowę emerytury tylko, w drugiej ubogi rzemieślnik Jan, którego nazwiska wspominać nawet nie warto... i jego żona, także bezimienna, *quasi* przekupka, która codzień od świtu, schodziła z tych stref podniebnych na padoł kamienicznej sieni i tam w przenośnej szafce sprzedawała aż do wieczora, skórkowe i saczkowe wyroby małżonka i pana, by potem powrócić na swoje górne gniazdo dla nakarmienia męża, dwóch małych terminatorów i dwóch córeczek, jeszcze mniejszych — wiecznie drżących od zimna, a bladych, od wilgoci pewnie...

Prawda! Była jeszcze i „górka” po nad głowami bezimiennych Parnasów, lecz na tej mieszkały już tylko... sznury, utrzymujące na sobie suszącą się tam bieliznę lokatorów, rozumie się, uprzywilejowanych tylko...

Reszta bowiem, musiała rozwieszać swoje, z balii wydobyte „szmatki”, na sznurach porozpinanych w mieszkaniu, nad głowami sobie.

W „wielką sobotę”, w jadalnym pokoju pp. N. N., na długim z natury a kunsztownie przysztukowanym stole, nakrytym obrusem spadającym do podłogi—stały rzędy półmisków, z szynkami, jajami, kiełbasą, roladą i różnem pierzastem, ryczącem i kwiczącem pieczywem, otoczone girlandą z bab, placków i mazurków a poprzetykane szyjkami butelek, rozmaitego kształtu i zawartości różnej.

Takaż sama prawie wystawa gastronomiczna, ukazała się i w jadalni państwa W., na drugiem piętrze — z tą tylko odmianą, że pan N. N. z powodu stosunków dystylarnianych... brał ciasto od Kocha, wino od Simona i Steckiego a wędliny od Eberleina, gdy tymczasem pan W. także ze względu na stosunki sukienno-kortowe... zaopatrywał swój stół świąteczny w ciasto Lursowskie, w wina Sowińskiego i Szulca i w wędliny pochodzące z pracowni Lehra.

W salonach, na pierwszem i na drugiem piętrze, wyczyszczono obicia, okurzono meble i zdjęto z nich pokrowce, a posadzki pociągnięto na świeżo i zafroterowano pilnie — słowem, całe mieszkania pp. N. N. i W., jaśniały uroczystością świąteczną.

Inaczej całkiem wyglądał skromny lokalik państwa K.

Tam o zwykłej godzinie rannej, gospodarz domu wyszedł i w tym dniu także na miasto, wraz z siedmnastoletnią córką, Joasią, śliczną i świeżą, choć o smutnej twarzy dziewczynką, którą do pracowni drzeworytniczej odprowadził; a pożegnawszy ją uściskiem serdecznym i tym smętnym uśmiechem ojców ubogich... uśmiechem, od którego rozumne zwykle oczy ubogich a kochanych dzieci, zachodzą łzami gorzkiemi... powrócił do domu, gdzie zastał żonę schyloną nad kartką papieru, po której kreśliła jakieś cyfry ołówkiem.

— Cóż tak pilnie oblicza, moja biedna pani?— zapytał, całując posiwiałą już, choć nie od wieku jeszcze, głowę swojej towarzyszki.

— Widzisz mój biedny panie — rzekła, z wysilonym nieco lecz pocieszającym uśmiechem, zapytana — że nie jesteśmy znowu tak ubodzy, iżbyśmy zmuszeni byli odmówić sobie a raczej... pozbawić naszą Joasię, skromnego chociaż „święconego”. Obliczyłam tu wszystkie nasze bieżące wydatki a odjąwszy je od cyfry gotówki jaką w kasie... posiadam, widzę, że pozostanie nam jeszcze przewyżka dość znaczna.

— Zapomniałaś o komornem pewnie?...

— O komornem? Przecież miesiąc nie skończył się jeszcze a i gospodarz, w święta tak uroczyste, zostawi nas pewnie w spokoju.

— Zapomniałaś, moja biedna Katarzyno, że miesiąc ten kończy się dziś właśnie, lecz nie zapomni o tem pewnie pan N. N., który...

Zamilkł w tem miejscu — albowiem drzwi od przedpokoju a raczej od kuchenki, pełniącej podwójny obowiązek, uchyliły się nieco i ukazała się w nich na krótkiej, „brzuszkowatej” postaci, wesoła, świecąca się jak politura, jakaś twarz obca.

— A... pan gospodarz! — wyrzekł zafrasowany emeryt. — Prosimy dalej...

— Niech szanowny pan raczy spocząć na chwilę — ozwała się zmieszana widocznie pani Katarzyna i podsunęła krzesło.

— Dzień dobry, mojemu państwu! Dzień dobry i życzenia świąt wesołych składam — rzekł, wciąż uśmiechnięty kordyalnie pan N. N. Dziękuję pani mojej, za krzesło... Wszedłem tu na chwilkę tylko, głównie by powinszować im świąt a potem... żeby oszczędzić fatygi... Bo zapewnie, szanowni państwo moi, już przygotowali dla mnie komorne, za miesiąc Kwiecień? Wprawdzie—dodał śmiejąc się głośniej — miesiąc ten rozpocznie się dopiero dziś po północy a raczej jutro, lecz ze względu żeby w dniu takim nie nastąpiło jakieś *prima aprilis* i żeby państwu mojemu nie zakłócać dnia uroczystego takiemi pospolitemi sprawami, przyszedłem dziś po należną mi jutro kwotkę.

Biedny emeryt zwrócił się do żony ze smutnym uśmiechem i rzekł:

— Kasiu! Trzeba zapłacić panu N. N., skoro już sam do nas pofatygować się raczył...

— A możeby pan dobrodziej zwolnił nas na po święta, lub przynajmniej przyjął dziś połowę należności? — wyszeptała blednąc kobieta.

— Nie mogę! pani moja droga! Jak Boga mego kocham, nie mogę! Tu, proszę pana mego, tyle wydatków, poniosło się na święta... Tu znowu, proszę pani mojej, tyle opłat wnieść trzeba do skarbu! Jak Boga mego kocham, nie mogę. Chyba... że drugą połowę zadeklarują mi państwo na jutro raniuteńko...

— O! zbytek łaski... — wyrzekła z goryczą lecz i z dumą pani Katarzyna — a dobywszy z szufladki stary pugilares, wyjęła z niego dziesięć rubli i podała panu N. N., który łapczywie pochwycił tę skromną niby a tak ogromną dla biednych ludzi kwotę.

— A teraz, proszę pana mego o kontracik... Trzeba w nim zanotować odebraną sumkę. Trzeba, dla porządku choćby... Bo, proszę pani mojej, porządek i akuratność, są to dwie cnoty kardynalne.

Podpisał podsunięty mu papier i wyszedł wciąż, uśmiechnięty serdecznie...

Przez chwilę zapanowało milczenie.

— I cóż moja biedna Kasiu, nie miałem słuszności? — rzekł emeryt.

Kobieta zasłoniła twarz rękami a przez jej palce spracowane, przeciekły łzy...

— Nie bądźże dzieckiem, Katarzyno! Czyliż to po raz pierwszy spotyka nas zmartwienie, lub niedostatek zagląda w oczy? Są to przecież goście zwykli, na których przyjęcie, ludzie ubodzy w każdej chwili gotowi być powinni...

— Nie łaj mnie Karolu... bo nie nad sobą płaczę. Prawda, nam niedostatek zagląda w oczy często, ale pierwszy to raz dopiero będziemy musieli podać na święcone Joasi; suchy chleb tylko...

Czoło biednego ojca zachmurzyło się posępnie. Po chwili jednak zbliżył się do żony a objąwszy stroskaną głowę wiernej przyjaciółki, otarł łzy z jej twarzy i rzekł:

— Odwagi! Moja Kasiu... Nasza Joasia ma serce nad wiek rozumne. Nie jest już ona dzieckiem: pojmuje położenie nasze i pewnie więcej się zmartwi widokiem łez matki niż brakiem łakoci świątecznych. Zresztą... dziś, choćby do późna, będę pracował nad skończeniem ksiąg rachunkowych dla naszego sąsiada z drugiego piętra, a jutro z rana, wstąpiwszy do niego, niby z powinszowaniem świąt tylko, pokażę robotę ukończoną... i poproszę o jakąś część należności za nią.

— Nic ci nie da, mój drogi, a jeszcze obgada potem, żeś go napastował w dniu tak uroczystym.

— Mylisz się Katarzyno. Tak postąpiłby z pewnością N. N., lecz nie W., który jest człowiekiem uczciwym i wyrozumiałym.

— Nie znasz, moje dziecko, tej klasy prawdziwych, z rodu już jakby, kupców warszawskich. Zapewne, znajdą się i pomiędzy niemi samoluby i chciwcy, lecz większość składa się z ludzi rzetelnych i zacnych, którzy mają nietylko serca lecz i ręce często otwarte do podania pomocy, w sposób delikatny nawet.

— Bądź dobrej myśli, powtarzam, a tym czasem, zamiast o święconem pomyśl o przysposobieniu dla nas na jutro jakiegoś ubogiego, lecz zdrowego posiłku, który notabene, będziesz musiała jejmość ugotować sama, ot, temi wychudłemi w pracy palcami — dodał, ująwszy rękę żony i ucałowawszy ją z uszanowaniem i czułością.

— Ależ, mój Karolu! Jeżeli pewnym jesteś, że jutro pan W., da ci jakąś zaliczkę na robotę ukończoną prawie, to ja, oprócz owego skromnego a zdrowego posiłku, będę mogła kupić dla Joasi, choć jedną babkę tylko...

— A ileż ci pozostało w kasie, rozbitej przez gospodarza?

— Trzy ruble prawie!

— No, to z nich rubla musisz dać służącej, bo przecież my biedacy mamy służącą także, która niedostatku naszego podzielać nie jest obowiązaną.

— Prawda! Zapomniałam na świerć o Wiktoryi.

— A widzisz! Daj tedy rubla Wiktoryi, objaśniwszy ją zarazem, że święconego u nas w tym roku nie będzie, gdyż jesteśmy na obadwa dnie zaproszeni do krewnych i przyjaciół.

— Alboż ich mamy? Alboż ludzie ubodzy są komu krewnymi lub przyjaciołmi!..

W tem miejscu, zamilkła nagle i z jakimś niepokojem nieśmiałym spojrzała na męża, który od-

wrócił się szybko z twarzą wzruszoną jakiemś, bolesnem widać wspomnieniem.

Istotnie bowiem biedny emeryt, miał krewnego i to najbliższego, bo rodzonego brata, który niegdyś czuły i serdeczny, zerwał z nim wszelkie stosunki, rozgniewany za to, że Karol ożenił się wbrew jego radom, z ubogą i mieszczańskiego stanu panienką. Brat ten zresztą, przebywał gdzieś daleko.

Krótko jednak trwała chwila milczenia, wywołanego tem niewczesnem wspomnieniem, gdyż opanowawszy chwilowe wzruszenie emeryt ozwał się łagodnie.

— Powiadasz, że nie mamy krewnych i przyjaciół. Zapewne... Lecz musimy mieć jednych i drugich dla Wiktoryi, której z tego powodu pozwolisz wyjść jutro i pojutrze z domu na pohulankę, choćby całodzienną. Z pozwolenia tego Wiktorya, choć dość stateczna, skorzysta jednak chętnie. Już sam plac ujazdowski, przygotowany do zabawiania ludu, ręczy nam za to. Otóż, podczas nieobecności sługi, moja kochana jejmość zawiąże fartuch i przy pomocy swego pana i swojej panienki... roznieci ogień i ugotuje jakąś strawę ciepłą. Potem zaś nastawi samowar i nasmaruje masłem, nam i sobie, trzy pajdy smacznego chleba. Na deser, po takiej uczcie, oboje ucałujemy Joasię...

— A może zabralibyśmy ją do państwa W.? Bo zapomniałam ci powiedzieć, że *sama* spotkawszy mnie dziś rano, na schodach, zapraszała na święcone, dodając, że i nasza Joasia, którą obie jej córki kochają bardzo, potańczyłaby wraz z niemi. Biedne dziecko! Ma nawet i sukienkę świeżuchną, którą sobie uszyła i przystroiła sama, na święta.

— I przyjęłaś te zaprosiny?

— Nie zupełnie. Podziękowałam za dobroć i powiedziałam, że jeśli tylko już przyjęte zobowiązania pozwolą na to, służyć im będziemy. Dodałam jednak, że jesteśmy zaproszeni do krewnych i dlatego nie robiliśmy „święconego" u siebie.

— A widzisz!—rzekł uśmiechając się emeryt.— Z własnego popędu skłamałaś przed panią W., tak zupełnie, jak przed kucharką skłamać ci radziłem. Wstydź się, stara grzesznico!

I roześmieli się oboje, pocieszeni jakoś.

Ludziom ubogim, nie wiele do pociechy trzeba! Jeden uśmiech twarzy kochanej, jedno słówko serdeczne z ust życzliwych, lada najbledszy promyczek nadziei... zaprawią im słodyczą chleb, nawet czarny.

. . . .

A właśnie i taki uśmiech i taki promyk, zjawiły się w tejże chwili przed oczami, stroskanych rodziców, w osobie Joasi, która wbiegła nagle, z twarzyczką zarumienioną i rozjaśnionem czołem.

— Już powróciłaś z pracowni! Tak wcześnie?...— spytał zaniepokojony ojciec.

— Czy ci się co przytrafiło?... Może co złego.— Dodała trwożnie matka.

Joasia roześmiała się głośnym, srebrzystym śmiechem i uściskawszy z kolei, matkę i ojca, zawołała radośnie:

— Cieszcie się, moi najdrożsi! Miałam dziś dzień szczęśliwy.

A widząc twarze rodziców zwrócone ku niej z wyrazem ciekawości i wzruszenia, dodała swobodnie:

— Zaledwie przybyłam dziś do pracowni i zaczęłam wykończać kliszę, nad którą już od dni kilku pracuję, poproszono mnie do kantoru, w którym zwykle pan dyrektor a zarazem, jak wiecie i właściciel naszego zakładu, załatwia rozmaite sprawy z interesantami przybywającemi z miasta i z pracownikami swojemi.

Pan dyrektor, który rozmawiał z jakimś nieznajomym mi panem, nie młodym już, lecz wyglądającym na możnego i poważnego człowieka, spostrzegłszy mnie wchodzącą, wstał i powitawszy bardzo uprzejmie rzekł:

— Panno K! Przepraszam, że cię fatygowałem tu, moje dziecię, lecz mam ci oznajmić dobrą nowinę...

A gdy spojrzałam nań zdziwiona, dodał:

— Spostrzegłem w robocie twojej postęp ciągły i bardzo znaczny... ostatnie dwie klisze wyszły wybornie i dlatego postanowiliśmy, ja i mój wspólnik. (Tu wskazał wzrokiem na owego pana), wyznaczyć pani od dnia jutrzejszego, jako rozpoczynającego miesiąc nowy, pensyę stałą, zamiast wynagrodzenia od sztuki, jak to zwykle czynimy. Będziesz tedy, moje dziecię pobierała odtąd po trzydzieści rubli miesięcznie, z obowiązkiem pracowania w zakładzie liczbę godzin taką, jak dotąd tylko.

— Czy to być może! — przerwał ucieszony ojciec, podczas, gdy matka, ze łzami radości uściskała serdecznie Joasię.

— Ależ tak, mój ojczulku! Tak jest istotnie. I gdybyś wiedział jaką miałam ochotę usłyszawszy to... uściskać obydwóch tych panów... O! bo serce mi rosło na myśl, że będę mogła przecież przydać się wam na co... Że Bóg pozwoli mi oszczędzić wam pracy... Ah! tak byłam szczęśliwa! Ale i tak wzruszona jakoś, że doprawdy, nie umiałam godnie podziękować panu dyrektorowi, który też uśmiechając się dobrotliwie dodał:

— Proszę zanieść tę wiadomość rodzicom i zarazem pozdrowić odemnie szanownego pana K. Na dziś, zwalniam cię moje dziecię, od pracy.

— A jeżeli — dodał ów pan, wspólnik — panienka potrzebuje zasiłku, na jakie sprawunki świąteczne, to... możemy jej coś zaliczyć na pensyę.

I uśmiechnął się także. O! mój ojczulku. Ten uśmiech jego, wzruszył mnie bardziej jeszcze, a wiesz dlaczego?

— No? — zapytał ciekawie pan Karol.

— Bo był tak podobny do twojego uśmiechu w chwilach, gdy jesteś wesoły. Ale to tak podobny... jak jeden.

— I cóż odpowiedziałaś im, mój aniołku? — przerwała matka.

— Ah! Sama nie wiem co. Jakoś zawstydziłam się i wybąkałam tylko, że to już ojczulek będzie za mnie załatwiał te pieniężne stosunki i wyszłam, rozumie się dygnąwszy obydwóm tym panom grzecznie...

— Ależ w takim razie, mógłbyś mój Karolu, pójść zaraz do tego pana dyrektora i wziąć kilka rubli na rachunek pensyi Joasi. Moglibyśmy pochulać sobie przecie... — rzekła, śmiejąc się pani Katarzyna.

— Nie, tego nie zrobię! Lepiej już obądźmy się tem czem mamy. Żenowałby mnie pośpiech taki... W drugie święto pójdę podziękować za dobroć i względność, okazane dla Joasi, a wtedy... jeżeli będzie koniecznie potrzeba... zobaczymy!

. . . .

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z PAMIĘTNIKA. (*)

Wiosna pachnie,
Słowik śpiewa,
Dusza się do piosnki zrywa.
Zmilknij duszo, stłum zapały —
Tobie piosnki nie przystały.

Wiosna pachnie,
To nie tobie;
Słowik śpiewa nie dla ciebie;
Twoja wiosna zejdzie w grobie,
A pieśń twoja zabrzmi w niebie.

Że twą stopą,
Depczesz zioła,
Miałżebyś je mienić swemi?
Że śpiew ptasząt brzmi dokoła,
Miałżebyś moc władać niemi?

Czuciem objąć
Ludzkie plemię,
Myślą wznieść się aż do nieba —
To cel życia na tej ziemi —
Na cóż tobie piosnki trzeba?...

Szczęsny Morawski.

NA DRODZE I BEZDROŻU.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

E. Zoryana.

(Dalszy ciąg.)

IX.

„Czekałam tak długo, nie przyjechałeś, wierzę, że cię zatrzymują zajęcia i obowiązki. Ale ja tu dłużej nie wytrzymam w pośród ludzi obcych, których znieść nie mogą. Mama mi pisze, że chora i nie rychło przybędzie. Pozwól więc, że powrócę na wieś, do ciebie.

„Wszak nie weźmiesz mi tego za złe?

Twoja Amalia."

List ten dostał Alfred we Lwowie.

— Czy też ona zdrowsza? — myślał — jeśli

(*) Wiersz ten nie był nigdzie drukowany i dotąd spoczywa ukryty w imionniku, napisany własnoręcznie przez autora głośnej swego czasu powieści „Pobitna pod Rzeszowem".

(*Przyp. Red.*)

nie, to powietrze nasze ostre zaszkodzi jej. A potem nudzić się będzie na wsi. Chora bawić się nie może, ja także muszę siedzieć we Lwowie...

Ale Alfred teraz nie miał czasu na długie rozmyślanie. Robił ciągle nowe znajomości, bywał wiele i sam przyjmował, jak na posła przystało. Zresztą dostał z Wiednia instrukcyą, ażeby sobie jednać kolegów, tworzyć partyę silną, któraby miała przewagę w sejmie.

Była to praca nie lada i przekonał się Zagórski, że ciężej mu szło, aniżeli na wsi.

Pani Bilskiej nie było, bo bawiła dłuższy już czas zagranicą, a salony polityczne nie znajdowały we Lwowie miru. Jedynym jeszcze punktem zboru było kasyno szlacheckie. Tam też Alfred kaptował sobie stronników, chociaż do tej pory nie mógł się poszczycić, ażeby ich miał.

Gdzież jemu w pośród takiej pracy było myśleć o żonie chorej, a tęskniącej do niego? Nie spieszył więc z odpowiedzią.

Amalia tymczasem nie mogąc się doczekać listu, kazała rzeczy spakować i niespodzianie zjechała do Lwowa.

I znowu tuliła się do piersi męża i patrzała mu w oczy, nie mogąc w nich wyczytać tego, czego tak bardzo pragnęła.

— Pojedziemy na wieś? — pytała.

— Jedź, moja droga, ja się ztąd ruszyć nie mogę.

— Dlaczegoż ty masz się poświęcać dla drugich, czyż oprócz publicznych obowiązków nie masz innych?

— Nie rozumiesz tego — odparł z niechęcią.

Zamilkła.

W kilka dni potem, odwiózł żonę do Strzałkowa, sam spiesząc z powrotem do stolicy.

Została tedy sama we dworze pięknym, wygodnym, otoczonym zielenią i wonią — ale sama tylko...

Ona spieszyła do *niego* i...

Słowiki śpiewały, woń kwiatów rozkoszna muskała na falach powietrza jej skronie i włosy, a ona — płakała.

Zakryła twarz w wychudłych dłoniach, przez palce przemykały się łzy, w których promienie księżyca igrały, jakby to były brylanty, lub perły, a nie zwiastuny wielkiego, beznadziejnego smutku.

Siedziała tak, zapomniawszy o świecie, myśląc tylko o sobie i o nim...

Żółty piasek zaszeleściał pod lekkiemi stopami, ale Amalia tego nie słyszała. Jakaś postać kobieca zbliżyła się do niej, wpatrywała się w nią długo i wreszcie dotknęła lekko ciepłą dłonią.

Dreszcz przebiegł jej ciało, tylko na własnej ręce czuła przyjemne dotknięcie. Zdawało jej się to snem. Wszak była sama. Zwolna oczy podniosła — ujrzała przed sobą Helenę.

Nie wiedziały co do siebie mówić, tylko wpatrywały się długo.

Pierwsza odezwała się Amalia.

— Dziękuję ci...

Dawniej mówiła jej: pani.

Helena objęła ją w pół i pocałowała tak szczerze, tak serdecznie, jakby jej siostrą była rodzoną.

— Dowiedziałam się, żeś chora...

— O, dziękuję ci — i uścisnęła raz jeszcze rękę Heleny.

— Alfred ci mówił? — zapytała.

— Tak, prosił abym cię często odwiedzała...

Skłamała, może pierwszy raz w życiu.

— Dobry... — wyszeptała Amalia.

— Więc będziesz przyjeżdżała? Mnie tu bardzo smutno... zagranicą miałam już dość samotności — dodała po chwili.

— Przyjadę, ile razy zechcesz... Ty do nas przyjeżdżaj także.

— Słaba jestem bardzo, więc najwięcej muszę siedzieć w domu.

— Ale w pośród nas wyzdrowiejesz. Jutro przyjadę z Włodzimierzem i dziećmi...

— Ty masz dzieci?...

— Dwoje.

Na twarzy Amalii jeszcze większy smutek się odbił.

— Ja nie mam...

Helena poczuła łzy w oczach. Znowu przytuliła do siebie swą bratowę i żal jej się zrobiło tej kobiety.

Rozmowa, zrazu nieśmiała, ożywiła się, a kiedy Helena odjeżdżała, prosiła Amalia:

— Przyjedź jutro.

— Przyjadę.

— Przyjedź na cały dzień... ja taka jestem smutna... niedługo cię będę nudziła... pożegnam was.

— Nie mów tak, moja droga, bo nie przyjadę.

— Dobrze, dobrze, tylko o mnie nie zapominaj.

Helena powróciła do domu smutna.

— Jaka ona biedna! — powiedziała do męża.

— A tyś taka dobra.

— Teraz jej nie można opuszczać... wszak pozwolisz, że co dnia będę do niej jeździła?

— Owszem, trzeba ją koniecznie rozweselać...

Mąż o niej zapomniał.

Zamknęła usta mówiącemu pocałunkiem.

— Oj, ty, ty pieszczotko moja. Czy jest gdzie lepsza kobieta i żona?

Dwór w Strzałkowie poweselał od tego dnia.

Helena była tam codziennym gościem, często przywoziła z sobą dzieci, nieraz też towarzyszył jej Włodzimierz.

Amalia ożywiła się trochę, nawet biegała z dziećmi po ogrodzie, a wieczorem siadywała z Heleną na werandzie i rozmawiały długo. Każda opowiadała o sobie, o życiu swojem, tylko że Alfredowa taiła się z tem, co ją bolało, Helena nie miała do ukrycia nic. Czasem tylko wstrzymywała się w opowiadaniu, widząc łzy w oczach bratowej, słuchającej o cichem, niczem nie zamąconem szczęściu.

Ale chwilowe wesele nie wracało ni szczęścia, ni zdrowia. Amalia nikła powoli, co dnia pochylała się do grobu. Wyschła, wynędzniała, oczy jej przygasły zupełnie, oddech stawał się coraz krótszym, serce przycichło zupełnie, lub biło gwałtownie, jakby chciało rozwalić tę pierś zapadłą, którą tylko westchnienia i kaszel podnosiły.

Helena namawiała bratowę, ażeby wyjechała znowu zagranicę, żeby się radziła lekarzy, ale ta odpowiadała z uśmiechem:

— Daj pokój... czuję już zbliżającą się śmierć, po co umyślnie przedłużać męki...

Dziwny, nieokreślony cień zapadał na twarz chorej — to pierwszy goniec śmierci.

Widząc to, napisała Helena do brata, żeby przyjechał na wieś:

„Amalia chora ciągle, weselej by jej było...”

Ale nie wyznała jeszcze prawdy. Sądziła, że tych kilka słów wystarczy.

Tymczasem Alfred o przyjeździe nie myślał wcale. Z rozpoczęciem sejmu miał roboty więcej aniżeli się mógł spodziewać. Stronników sobie jednał; przyrzekali, a w stanowczej chwili cofali się. Drażniło go to, tem bardziej, że doznał już kilka porażek w nowej swej karyerze. Pierwszą zaraz mowę przenicował jeden z oponentów tak dzielnie, że z niej tylko strzępy pozostały. Dzienniki zaznaczyły, że najmłodszy z posłów jest bardzo uczony i cytuje dzieła i autorów stosownych może w sprawie Indyi, lecz na nieszczęście nie mających żadnego związku z wywozem bydła rogatego zagranicę.

Hrabia R* przysłał lekką naganę i kazał się radzić hrabiego Z* w każdej ważniejszej rzeczy.

Przy rozdzielaniu robót sejmowych, wybrano Zagórskiego do jednej z komisyi. Na pierwszem zaraz posiedzeniu wywiązała się scysya pomiędzy Alfredem, a hrabią Z*, który w tejże komisyi zasiadał. Hrabia dowiódł Zagórskiemu jak na dłoni, nieznajomość rzeczy, ten zaś bronił się wprost arogancyą.

— Za wielem się uczył, ażeby tu jeszcze być mentorowanym.

Hrabia uśmiechnął się i najspokojniej odpowiedział.

— Nie myślałem panu osobiście sprawiać przykrości, cofnę też moje zdanie, jeśli mnie przekonasz. Najlepiej będzie, gdy pan sam wygotujesz referat w sprawie przez sejm nam poruczonej. Wszak panowie na mój projekt się zgodzą? — dodał, zwracając się do kolegów.

— Owszem, prosimy pana Zagórskiego.

— Za trzy dni będzie rzecz gotowa.

— Masz pan tydzień czasu, prędzej sprawa nie pójdzie pod dyskusyę.

Zasiadł tedy Alfred nad stosem materyałów, przeglądał je, notował i pisał z takiem zajęciem, jakby miał przed sobą legion wrogów do zwalczenia.

W oznaczony dzień, zjawił się z plikiem papierów w sali sejmowej. Miał minę poważną, spokojną; głowę niósł wysoko, jak człowiek pewny tryumfu. Zaczął referować sprawę; słuchano go uważnie. Była to bowiem najlepsza okazya poznania nowego posła, w całym jego blasku, czy nicości.

W miarę jak czytał, zaczęły się przeciągać twarze posłów, spoglądano po sobie; ten i ów uśmiechnął się nieznacznie, ale czekano końca.

Szmer zrobił się w sali, dziesięciu posłów zapisało się do głosu.

Poczęła się rąbanina na dobre. Każdy z mówców zaglądał do referatu Zagórskiego i punkt po punkcie zbijał twierdzenia, wywody i projekta. Nie zostawili jednej myśli całej. Posiekaną na sztuki pracę, rzucono na pastwę opozycyi, która zaczęła szemrać o partyach uczonych, a niezdolnych do najpodrzędniejszej roboty, o złym wyborze komisyi i t. d. Wreszcie zgodzono się, ażeby referat oddać komu innemu, do powtórnego opracowania.

Zagórski zbladł, ale nie ustępował. Z początku popierał swoje wnioski, lecz nie chciano ich nawet oddawać pod głosowanie.

— Do porządku dziennego, prosimy, już i tak dużo czasu straciliśmy.

Dzienniki lwowskie streściły obszernie referat i mowy posłów, wyszydzając nielitościwie Zagórskiego. Był zbity kompletnie, ale tem wyżej nosił głowę; uśmiechał się z ironią i lekceważąco ruszał ramionami, gdy ktoś wspominał o tym lub owym mówcy, który zwyciężał nawet nieżyczliwych.

— Krzykacze! — myślał Alfred i zaczynał pogardzać kolegami.

Trzeciego dnia, przyszły z Wiednia dwa telegramy. Jeden był do hrabiego Z*, w tych słowach:

„Ratuj sytuacyę — boję się, czy nasze stanowisko nie zachwiane — ty jeden możesz nas ocalić.”

Druga depesza adresowana do Zagórskiego, opiewała:

„Proś pan o urlop do końca sesyi sejmowej — oczekiwania moje fatalnie zawiedzione.
Hrabia R*.”

W godzinę potem, dostał telegram, donoszący o śmierci żony...

X.

Po pogrzebie Amalii, wyjechał Alfred z kraju, nie mówiąc nikomu dokąd. Długi czas nie mieli jego znajomi wiadomości, co się z nim dzieje, gdzie przebywa.

Upłynął blizko rok, gdy wreszcie zjawił się w Wiedniu u hrabiego R*.

— Aa... witam pana — odezwał się hrabia przeciągle.

Zagórski, nie zważając na ton zimny powitania, odezwał się z dawną swobodą:

— Zatęskniłem za moimi przyjaciołmi...

Gospodarz wskazał fotel.

— Dawno pana nie widziałem.

— Tak, po śmierci żony wyjechałem do Włoch i do tej pory tam bawiłem.

— Cóż pan teraz zamyśla począć?

— Wkrótce jadę do kraju... nowe wybory się rozpoczynają...

— A, prawda. Czy myślisz pan kandydować?

— Ależ naturalnie i sądziłem, że hrabia...

— Nie rozumiem pana.

— Wybór mój trwał tylko do końca kadencyi, obecnie więc muszę znowu się starać.

— No, tak.

— I sądzę, że hrabia jak dawniej użyczy mi poparcia...

— Ja?...

— Ależ panie hrabio, nie rozumiem...

— A ja nie odpowiadam za to, czy pan rozumiesz, czy nie, dziwi mnie tylko pańskie żądanie.

— Wszakże hrabia mnie popierał...

Hrabia powstał szybko, nie mogąc widocznie dłużej się hamować. Zmarszczył brwi, oczy siwe, bystre, patrzały przenikliwie, zimno.

— Panie Zagórski, swą niedomyślnością sprawiasz mi pan prawdziwą przykrość, bo zmuszasz do objaśnień, których radbym był uniknąć. Niegdyś zdawało mi się, że posiadasz pan prawdziwe zdolności i spryt, konieczny dla każdego polityka. Wtedy podałem panu rękę, w nadziei, że staniesz się nam pożytecznym. Nie był to wyzysk, bo wpierw daliśmy dowody wielkiej życzliwości i poparcia nigdzie nie skąpili. Moi współpracownicy z pod tego samego sztandaru, którzy dobra Galicyi nadewszystko pragną, ostrzegali mnie, utrzymując, że pan nie jesteś tym, którego nam potrzeba. Nie wierzyłem, lecz byłem dla pana zawsze najżyczliwszym, najlepszym przyjacielem. Wszedłeś pan wreszcie na drogę polityczną, rozpocząłeś służbę publiczną fatalną porażką...

— Krótki telegram mój — dodał po chwili — mógł pana dokładnie objaśnić o mojem zapatrywaniu się na sprawę. Zawiodłem się najzupełniej. Dziś więc, zrozumiesz pan, żadnych interesów wspólnych nie mamy...

Zagórski zbladł, jak wówczas, kiedy pracę jego wyśmiano w sejmie. Wstał, ukłonił się sztywno i wyszedł.

Rzucając się na aksamitne siedzenie hotelowej remizy, mruknął:

— Dam sobie radę i bez was!

Woźnica zapytał dokąd ma jechać.

— Do Volksgartenu.

Widok ruchliwej, tłumnej publiczności, ożywił go, usunął z myśli świeżą rozmowę. Zaczął się rozglądać dokoła, gdy nagle przystanął, wpatrzył się w jeden punkt, potem uśmiechnąwszy się, poszedł w kierunku osamotnionej ławeczki, stojącej na uboczu. Na ławce siedziała smukła kobieta w gustownym, czarnym stroju.

Zagórski zbliżył się do niej i zagadnął wesoło:

— Dobry dzień, piękna Lizetko.

Lizetta dopiero teraz go spostrzegła. Uśmiechnęła się ironicznie i odpowiedziała.

— Dzień dobry panu...

Przysiadł się do niej.

— Jakże się cieszę, że cię spotykam, ty mi zawsze spadasz, jak anioł pocieszyciel w dzień smutku.

Patrzała na niego ciągle z tym samym uśmiechem.

— Cóż się tak we mnie wpatrujesz? Czy się zmieniłem?

— Nie, jesteś pan zawsze ten sam...

— Ale tyś się zmieniła, Lizetko, jesteś coraz piękniejszą!

— Pan, co prawda, nie wypiękniałeś.

— A mówisz, żem się nie zmienił.

— Tak, jesteś pan zawsze...

— Co?

— Zarozumialec!

Odsunął się od niej trochę i spojrzał zdziwiony.

— Jak?

Uśmiechnęła się znowu.

Uśmiech ten uspokoił go, przysunął się więc znowu i szepnął:

— Piękna Lizetko, dziś musimy zjeść najlepszą kolacyę, na jaką stać wiedeńskich kuchmistrzów... O, ja cię tak kocham Lizetko...

I znowu zadzwonił jej srebrny śmiech, potem brwi się ściągnęły, oczy zabłysły, kibić wyprostowała się, jakby rosła nagle.

— Wesołej zabawy życzę.

— Jakto? Nie chcesz pójść ze mną? Drożysz się?

— Naucz się piękny panie, że nawet takiej jak ja Lizetki, niewolno dwa razy rzucić, bez słówka pożegnania, aby potem z najlepszą miną znów kiedyś zaproponować kolacyę...

— Ależ...

— Wesołej zabawy.

Wstała, smukła jak łania, dumna, piękna i odeszła, nie spojrzawszy nawet na Alfreda.

Siedział chwilę, gubiąc się w myślach, gniew rysował mu się w oczach i na czole, wreszcie powstał także i mruknął przez zęby:

— Głupia...

Zniknął wkrótce w tłumie, który roił się coraz liczniej.

Rozpoczął hulatykę, do której wesoła stolica wiele nastręczała sposobności. Szaleństwem chciał zabić myśl o niedawnych smutkach, chciał zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Po dwóch tygodniach opuścił Wiedeń, blady, zmęczony, zniechęcony do świata i życia.

Dopiero na wsi się ożywił. Przypominał sobie lata ubiegłe, znajomości z ludźmi, życzliwość hrabiego R* i wiele, wiele innych rzeczy. Dziś widział się opuszczonym przez wszystkich. Złość go porwała i postanowił pokazać światu, że sam sobie da radę.

Wybory już były rozpisane. Komitet centralny stawiał kandydatów, ale Zagórskiego pomiędzy nimi nie było.

— Nie potrzebuję niczyich faworów, o własnych siłach dźwignę się po nad tłum głupców i krzykaczy; ja im pokażę com wart!

Zaczął wizytować sąsiadów.

Przyjmowano go grzecznie, lecz już nie z tą serdecznością co dawniej. Czuł to Alfred, lecz udawał, że nie spostrzega różnicy.

Objechawszy wszystkich, zapowiedział u siebie obiad, na który całe sąsiedztwo zaprosił. Nie wszyscy wszakże przybyli.

Po obiedzie, przy winie, którego dolewano szczodrze, zapytał gospodarz.

— Jakże tam panowie z wyborami?

Nikt jakoś nie spieszył się z odpowiedzią. Wreszcie ktoś odezwał się.

— Komitet centralny ogłosił już listę kandydatów.

— Swoich?

— Tak.

— Ale panowie, przecież nie zgodzicie się na nią...

— Istotnie, chcemy kogo innego z pośród nas wybrać.

Twarz Alfreda rozjaśniła się.

— To bardzo słusznie, obywatelstwo nie potrzebuje kurateli komitetu...

— No, kuratela to nie jest, mamy zawsze wolność wyborów, ale najlepiej iść za głosem tych, którzy znają siły i potrzeby kraju...

— Jakto pan rozumiesz? Słyszałem przecież dopiero co, że panowie macie własnego kandydata.

— Istotnie i właśnie rokujemy z komitetem, ażeby swego cofnął, a popierał naszego.

— A rokowania te?

— Dziś jutro się rozstrzygną i najpewniej na naszą korzyść.

Odpowiedź ta zaniepokoiła Alfreda. Wiedział dobrze, że komitet na jego kandydaturę by nie przystał. Wolno mu było starać się o głosy na własną rękę, ale centralny komitet nie popierałby go. Zapytał więc znowu:

— Czy tylko jesteście panowie pewni swego?

— Mamy wszelkie powody sądzić, że komitet przeciwko naszemu kandydatowi nie zechce walczyć. Jest to człowiek znany w kraju, od niedawna wprawdzie, ale zaszczytnie.

Alfredowi w głowie się mięszało. On to, czy nie on? Pewności nie miał, a jednak chciał, musiał wiedzieć. Sąsiedzi dopomogli mu.

— Bawiłeś pan długo zagranicą, więc może nie słyszałeś o Auguście Wilskim?

— Wilskim?

— Tak. Mieszka w pośród nas zaledwo od roku, nabywszy klucz żarniecki w chwili, kiedy już żydzi dobijali targu. Było to pierwsze nasze poznanie się z nim. Nakładem kilkudziesięciu tysięcy odbił żydów, za co mu nigdy nie przestanie-

my być wdzięczni. Od tego dnia stał się najgorliwszym krzewicielem wszystkiego dobrego. Nie poznasz pan tych spustoszonych jeszcze nie dawno dóbr. Szkoły, szpitale, ochronki, pobudował w ciągu jednego lata, gospodarstwo podniósł, a dla nas jest najlepszym sąsiadem i wzorem.

— To widzę, fenomen jakiś! — odezwał się Zagórski z przekąsem.

— Przyznasz nam pan racyą, poznawszy Wilskiego.

— I panowie chcecie człowieka, który ledwo rok z wami sąsiaduje, wybrać posłem?

— Ej, panie Alfredzie — odezwał się ktoś z poważniejszych obywateli — aby kogoś poznać, niekoniecznie trzeba z nim zjeść beczkę soli, zresztą Wilski znany jest w całym kraju, toż to on przecię wydał broszurę w sprawie naszego gospodarstwa rolnego.

— I to cała jego zasługa?

— Pan bo zapomniałeś o kraju i nie wiesz co tu się działo.

— Istotnie o tej sławnej broszurze nie słyszałem — rzekł z przekąsem.

— Wszystkie pisma krajowe ją przedrukowały, chwaląc ogromnie, w Wiedniu zwrócono na nią uwagę w parlamencie i ona stała się powodem przyjazdu ministra rolnictwa do Galicyi...

— Taak? — wymknęło się z ust Alfreda, ale nic więcej nie mógł powiedzieć.

O wyborach nie mówiono już tego dnia; nie wynikało z tego wszakże, ażeby Zagórski zaniechał swego projektu. Przeciwnie, uparł się i chciał postawić na swojem.

Ogłosił tedy swą kandydaturę, kaptował sąsiadów, którzy mu się wymykali, stawał przed wyborcami i... upadł kompletnie, nie otrzymawszy ani jednego głosu.

Ambicya jego poniosła cios wielki.

Powrócił do domu zły, znękany, plujący żółcią na świat; czując się zawiedzionym w swoich nadziejach, sądził, że jest zapoznanym.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Teatr dzisiejszy. — Komedya les Deux Barbeaux. — Stuletni profesor Chevreuil. — Adam Prażmowski. — Nowy telefon D-ra Ochorowicza. — Gniazda autografów.

(Dokończenie.)

Oddawszy przynależny hołd zmarłemu Prażmowskiemu, wspomnijmy teraz o pełnym życia i przyszłości pracowniku, którego imię pozyskało dziś w Paryżu wielki a zasłużony rozgłos. Powtarzamy tu słowa Parvilla, sprawozdawcy z ruchu naukowego, w dzienniku „Journal des Debats", o wynalazku D-ra Ochorowicza.

„Probowano w tych czasach — mówi Parville— w międzynarodowem Towarzystwie Elektrycznem i w Towarzystwie fizyków, nowego telefonu, którego rezultata okazały się znakomite. Na trzeciem piętrze gmachu Towarzystwa Geograficznego, pomieszczono małą orkiestrę: fortepian, troje skrzypców i piston. Dwaj chórzyci wzięli udział w koncercie. O kilka metrów ustawiono przyrząd, inny znów przyrząd, połączony drutem z poprzednim, umieszczono na dole w sali, obejmującej do pięciuset osób. Owóż muzyka rozległa się po całej sali, wszystkie tony słychać było najwyraźniej, nie wyłączając śpiewu, ktoś wyrecytował na górze bajkę Lafontaina, każde słowo, dobiegło do ucha słuchaczom.

„Wynalazcą tego potężnego telefonu, jest D-r Ochorowicz. Zachowuje on dotąd w tajemnicy sposób budowy swych przyrządów. Główną charakterystyką nowego systematu, jest oddziaływanie ciepła. Dlatego to D-r Ochorowicz nadał telefonowi swemu nazwę „thermo-microphone". System ten, bardzo ciekawy, może przyczynić się do rozpowszechnienia audycyi muzycznych w dalekiej odległości."

Próby te dwókrotnie się powtórzyły, po tych o których mówi Parville. Na jednej z nich, w gmachu „Sztuk i przemysłu" (Arts et metiers), byliśmy obecni przed kilku dniami. Z wielkiem zdumieniem naszem słyszeliśmy koncert, odtworzony sztucznie za pomocą „thermo microphome".

* * *

Wpadła nam w rękę zajmująca książka pod tytułem „Un nid d'Autographes" (Gniazdo autografów), świeżo wydana przez krytyka muzycznego, Oskara Comettant. Opowiada on naprzód, jakim sposobem znalazł to sympatyczne gniazdko, w bibliotece Plejelów, których fortepiany od lat ośmdziesięciu słyną nad innemi w Europie. Wiadomo, że Szopen grywał tylko na fortepianie Plejela; ostatni, jaki mistrz nasz miał w gabinecie swoim, przy którym komponował najpiękniejsze utwory, zachowany został z poszanowaniem w składzie pod ową słynną firmą.

Któż z nas nie wie, że inny fortepian z tejże samej fabryki, należący niegdyś do Szopena, znajdował się w domu siostry jego w Warszawie, gdzie spłonął wraz z innemi pamiątkami. Jeśli z tamtego nie zostało już śladu, cieszmy się przynajmniej, że w domu Plejela pozostał inny, uważany jako bezcenny klejnot. Comettant tak go opisuje.

„Ów towarzysz, ów przyjaciel, ów powiernik duszy poety muzyka, zachowany ze czcią w domu Plejelów, odznacza się szczególną doskonałością. Dźwięk jego czysty, harmonijny, prawdziwie artystyczny."

Firma Plejela, powstała w roku 1807; założycielem jej, był Ignacy Plejel, słynny w swym czasie muzyk. Był on jednym z trzydziestu ośmiu dzieci ubogiego nauczyciela szkółki wiejskiej, który przeżywszy dwie małżonki, umarł stuletnim starcem. W roku 1777, magnat węgierski Erdeeli spostrzegłszy w młodym Ignacym niepospolity talent, zabrał go do Wiednia i oddał na naukę do sławnego Heydna, jakoż młodzian nie zawiódł położonych w nim nadziei. Przez lat trzydzieści panował w świecie muzycznym, jako genialny kompozytor, a następnie jako wydawca.

Szereg autografów rozpoczyna list Heydna:

„Otrzymałem—pisze stary mistrz — twoje trzy kwarteta i symfonią. Trudno sobie wyobrazić coś wspanialszego, niechże cię niebo wynagrodzi. Twemi pracami podnosisz nas obu, chciałbym tylko ująć sobie z jakie lat dziesięć, aby ci posłać jakąś nową pracę moją, może to i nastąpi. Twój dawny i na zawsze wierny przyjaciel Haydn. Amen."

W liście Kamila Plejel, syna Ignacego, z daty 27 prairial r. XIII (według republikańskiego kalendarza), znajdujemy znów ciekawe wspomnienie starego mistrza wiedeńskiego.

„Przybywszy do Wiednia — pisze Kamil do matki — chodziłem od domu do domu, by wyszukać adres Heydna. Otrzymałem go wreszcie. Dzwonię do drzwi, otwiera jest stara kobieta. Oznajmiłem kto jestem, służący zaprowadził mnie do pokoju, gdzie Heydn posilał się rosołem. Zdaje się nadzwyczaj osłabiony, rysy jego wprawdzie nie wiele się zmieniły, lecz zaledwie powłóczy nogi, a gdy mówi, tchu pochwycić nie może. Utrzymuje sam, że ma lat siedmdziesiąt cztery, ale wygląda co najmniej na ośmdziesiąt. Gdyśmy weszli, trzymał w ręku różaniec, cały dzień podobno spędza na modlitwie. Mówi ciągle, że mu czas umrzéć, że za stary i niepotrzebny już na świecie. Bawiłem krótko, odchodząc pocałowałem go w rękę, co mu sprawiło przyjemność. Ma bardzo ładny dom, pięknie umeblowany, ale jak się zdaje nie widuje nikogo."

W tem gniazdku autografów mieszczą się listy najgenialniejszych kompozytorów, z pierwszej połowy tego wieku: Cherubiniego, Mehula, Royeldiengo, Szopena, śpiewaka Garata i wielu innych. Do najciekawszych należy list Berlioza, pisany, gdy miał zaledwie lat szesnaście. Młode orle nie wybiegło jeszcze z rodzinnego gniazda, ale skrzydła jego rwą się już do podlotu, pragnie sławy, ściga ją przeczuciem.

Zagrzebany w miasteczku St.-Andre, nie słyszał nigdy orkiestry, w chwilach jednakże wolnych, wiedziony instynktem rzuca nuty na papier, żąda ogłoszenia ich od wydawcy.

Berlicz syn lekarza, idąc za wolą ojcowską, uczył się medycyny, ale wrodzony popęd rwał go na pole sztuki. W czternastym roku przeczytał życiorys Glucka i Heydna w biografii muzyków, odtąd bardziej jeszcze znienawidził zawód lekarski.

„Mnież być lekarzem?—pisze w pamiętnikach— mnie badać anatomią, krajać trupy, zamiast oddać się całą duszą muzyce, tej najszczytniejszej ze sztuk pięknych, której czuję całą doniosłość? Mnież to opuścić empireum i czołgać się po ziemi? Mamże porzucić nieśmiertelnych aniołów poezyi i miłości i pieśni ich natchnione, dla stęchłych sal szpitalnych, dla ohydnego amfiteatru i obrzydliwych trupów, dla krzyków boleści i chrapliwych jęków konania?"

Berlioz nie miał pojęcia o instrumentacyi, kiedy skomponował owe *pot-pourri*, które przysłał wraz z listem do Plejela, prosząc o ich wydanie. Żądanie jak łatwo zgadnąć zostało bezskutecznem, Berlioz sam, spalił później ten pierwszy swój utwór, razem z wielu innymi, list jego tylko pozostał przypadkiem w pośród autografów Plejela.

Znajdujemy tu niemniej ciekawe dwa listy, słynnego Rouget de Lisle, twórcy marsylianki, przezwanegp Tyrteuszem francuzkim.

Rouget de Lisle, nie połączył się z cesarstwem, ani z Restauracyą Burbonów. Zaniedbany przez Ludwika XVIII i Karola X, żył w ubóstwie i opuszczeniu, po dniach lipcowych dopiero, Ludwik Filip przeznaczył mu 1,500 fr. z własnej szkatuły. Później Berenżer wyjednał mu pensyą w ministeryum spraw wewnętrznych. Zamieszkał odtąd w Choisy u przyjaciela. Umarł w 1836 r.

Dwa listy jego do Plejela, nie noszą wcale daty, wyraźnie pisane w czasach, kiedy bieda dotkliwie mu dokuczała. Przytaczamy z nich jeden:

„Odkąd przyrzekłeś mi nowe skrzypce, drogi przyjacielu, marzę wciąż o duetach. Głupiejemy na wsi, mnie to łatwiej przyjdzie niż innemu. Jeżeliś mnie całkiem nie zapomniał, oddaj proszę cię przygotowany dla mnie instrument, oddawcy tego listu. Jeśle nie gotów jeszcze, powiedz kiedy ma się po niego zgłosić. Bądź pewien, że skrzypce twoje zachowam w wielkiem poszanowaniu."

Większą jeszcze dla nas wagę ma krótki, ale serdeczny liścik Fryderyka Szopena, złączonego z Kamilem Plejelem, węzłem najściślejszej przyjaźni. Oto są jego słowa:

„Najdroższy mój! (*cherissime*). Przeczytaj co pisze do mnie Onslów. Chciałem być sam u ciebie i opowiedzieć wszystko, ale czuję się bardzo słabym, muszę iść do łóżka. Kocham cię coraz bardziej, jeżeli to być może.

„Nie zapomnę o przyjacielu Herbeault. Do jutra, oczekuję was obu.

Szopen."

Po liście Szopena, następuje list Georges Sand, nieznany wydawcom jej korespondencyi, a więc nie zamieszczony w świeżo wydanym zbiorze.

„Otrzymałam drogi panie — pisze autorka Leii — zmartwychwstały mój fortepian, lepszy i dźwięczniejszy niżli był kiedykolwiek. Nie wiem jak podziękować panu za tę świetną kuracyę, której zawdzięczam miłe wyrazy starego przyjaciela. Ale wbrew temu co pisała pani Viardot, o wspaniałomyślnym zamiarze pańskim, mamże przyjąć tę bezinteresowną naprawę? Nie idzie zatem, abym się uwolnić chciała od obowiązku wdzięczności, ależ idzie tu o pracę robotników pańskich. Racz pan zaspokoić sumienie moje, oznaczając ile im winną jestem."

Autograf Bethowena, pisany po niemiecku, odznacza się oryginalnością, jak i cała postać słynnego kompozytora.

„Mój drogi i szanowny Plejelu — pisze maestro w roku 1807 — co się dzieje z tobą i całą twoją rodziną? Pragnąłem szczerze odwiedzić was, ale dotąd było mi niepodobna. Wojna główną do tego przeszkodą. Jeśli ta stać ma zawsze na drodze i jeśli rzeczy przeciągną się w ten sposób, mogę nie zobaczyć już Paryża.

„Drogi mój Camillusie — takie było podobno imię tego Rzymianina, który wygnał z Rzymu barbarzyńskich Gallów. — Radbym i ja nosić to imię, abym mógł wygnać ich zewsząd, gdzie się znajdują nie na swojem miejscu. Jak używasz talentu swego? myślę, że go nie chowasz sam dla siebie.

„Ściskam was obu całem sercem i ojca i syna, mam nadzieję, że oprócz interesów handlowych, powiecie mi coś o rodzinie waszej. Nie zapominajcie starego przyjaciela."

Zobaczmy teraz, jak Kamil Plejel w liście z Wiednia do rodziców, maluje Bethowena.

„Szliśmy właśnie do niego — pisze on — kiedy spotkaliśmy go blizko domu. Nizki, barczysty, twarz ma chudą, bardzo niemiłą. Przyjął nas zimno, posłyszawszy jednak, że jestem Plejelem, stał się trochę grzeczniejszy."

Bethowen w rzeczy samej, nie był wcale przyjemny, ale nagradzał hojnie wrodzoną szorstkość i gwałtowne uniesienia, szczerą dobrocią i tkliwem bardzo sercem. Humel zachował dwa listy jego, świadczące jak człowiek ten gwałtowny i porywczy, z jednej ostateczności, przerzucał się od razu w druga. Pierwszy list nadzwyczaj grubijański:

„Niech twoja noga nie postanie więcej w progu moim. Jesteś psem, hipokrytą. Bodajby kat ścisnął postronkiem gardło twoje i wszystkich podobnych tobie drapieżników.

Bethowen."

Humel połknął zniewagę, wytłomaczył się z niesłusznie zarzuconej mu winy. Nazajutrz otrzymał drugą kartkę.

„Moje ty serduszko maślane. Poczciwy z ciebie chłopiec. Masz słuszność, przekonałem się o tem. Przyjdź po południu, zastaniesz u mnie Schuppazinga, obaj uściśniemy cię, upieścimy, uniańczymy, ubłogosławimy.

„Ściskam cię oburącz, twój

Bethowen."

Comettant do publikacyi swojej, dołączył *fac simila* czterech listów, Heydna, Bethowena, Berlioza i Szopena. Pismo Szopena ładne i bardzo czytelne.

TEATR.

Występy Maryi Pospieszilówny — „Rozwiedźmy się", „Faust", „Fru-Fru".

Zaznaczyliśmy już sympatyą, z jaką powitano czeską artystkę w naszem mieście. Powitanie to było wynikiem serdecznych stosunków literacko-artystycznych, nawiązanych pomiędzy Warszawą, a Pragą.

Po pierwszym wszakże występie, w francuzkiej komedyi „Rozwiedźmy się", do sympatyi dołączyło się uznanie dobrze przez artystkę zasłużone. W sztuce tej widzieliśmy rozmaite artystki i przyznać musimy, iż panna Pospieszilówna umiała wytrzymać może surową nawet krytykę porównania.

„Rozwiedźmy się" wszakże daje zbyt małe pole do popisu p. P., której talent nadaje się znakomicie do dramatu o szerokim pokroju. Tam dopiero rozwija artystka cały zasób siły scenicznej, staje na gruncie dla niej najwłaściwszym, staje się panią sytuacyi i wychodzi z niej zwycięzko. To też dopiero po Małgorzacie w „Fauście" mogliśmy należycie ocenić indiwidualność talentu panny Pospieszilówny i oddać jej te pochwały, które są zasłużonym udziałem artystów prawdziwych.

Od pierwszego pojawienia się Małgorzaty na scenie, a jest ono chwilowe tylko, przelotne, zaczyna się stopniowo wznoszenie się gry, w miarę jak dramat zbliża się do punktu kulminacyjnego, a wreszcie do katastrofy.

Scena z brylantami, oraz dwie sceny z Faustem w ogrodzie, odegrała czeska artystka z tą subtelną naiwnością, która pociąga najzimniejszego widza, zmusza go do zastanowienia się nad tym psychicznym momentem tragedyi, w którym cały jej punkt ciężkości spoczywa. W dziecięcym szczebiocie, w miłosnem gruchaniu, czujemy zawiązek tragedyi.

Następny akt już nam ją w całej pełni ukazuje.

Dziewczę opanowane pierwszem, gwałtownem uczuciem, idzie za jego popędem, chociaż czuje jak źle czyni. Upadek otworzył jej oczy. Świadomość jego wywołuje ból, walkę — ale miłość zwycięża. Po pochyłości występku stacza się Małgorzata coraz niżej, bo zbyt gwałtowna siła ją porwała, bo na jej zgubę czyha szatan wcielony. Broni się tej nieznanej jej sile, pociechy i ratunku szuka w modlitwie.

Scenę przed posągiem Matki Bozkiej, odegrała Pospieszilówna znakomicie. Czuliśmy wraz z nią ten straszny ból, który wywoływa świadomość zbrodni popełnionej bezwiednie, z zaufania dla tego, któremu wraz z sercem oddała duszę całą, myśl swoją wszystką. Głos artystki o obszernej skali miękkich i tragicznych tonów, nagina się do sytuacyi koncertów. Cała tragedya w nim się odczuć daje. Gra ruchów stanowi harmonijne dopełnienie, przez nią bowiem wypowiada artystka tę straszną walkę, która nią targa.

Scena obłąkania w więzieniu, to punkt kulminacyjny, dla popisu talentu. Panna Pospieszilówna odegrała ją z prawdą i siłą, której powinszować jej można.

Równie szerokie pole do popisu, miała artystka w komedyi „Fru-Fru".

W pierwszej połowie sztuki, w połowie, będącej istotnie komedyą, gra panny P. była zupełnie poprawną, bez zarzutu, lecz nie dawała pojęcia o istocie jej talentu. Po „Fauście" rozumieliśmy artystkę dobrze — komedya w właściwem tego słowa znaczeniu, nie jest bynajmniej polem popisu dla jej talentu i indywidualności.

To też dopiero w drugiej części „Fru-Fru", w części o głęboko dramatycznym pokroju, wystąpiła na pierwszy plan bohaterka smutnej historyi, ofiara lekkomyślności, cierpiąca za własne i niewłasne winy. Czy była inną istotnie, pytamy, patrząc na jednolicie odtworzony harakter. Tak i nie! Była winną, bo sama zerwała najświętsze węzły rodzinne—nie była nią, bo jej nie nauczono zastanawiać się nad życiem, nie powiedziano jej, czem ono jest właściwie i jak je pojmować i traktować należy.

Sceny z Ludwiką w akcie trzecim, z mężem w akcie czwartym i wreszcie akt piąty, nie pozostawiają nic do życzenia. Chyba na najwyższą pochwałę artystki powiedzieć możemy, iż sztuką i ogromnym zasobem wrodzonego talentu, sprawia wrażenie skończonej prawdy. Patrząc na Pospieszilównę, jako Gabryelę, zapominamy, że to dzieje się na scenie, doznajemy złudzenia najzupełniejszego. Mamy przed sobą kobietę ze wszystkiemi jej właściwościami, kobietę żywą, z tą prawdą śmiechu, łez i bólu, jaką tylko w życiu spotkać można.

Panna Pospieszilówna jest realistką. Zasadą jej gry jest naturalność, prawda skończona, która scenę do życia zbliża. Przenika każdy charakter siłą talentu i odtwarza go takim, jakim być może i powinien. Poczucie artyzmu nadaje jej kreacyom zaokrąglenie, jednolitość i tę harmonię piękna, która będąc cechą realizmu, w dobrem rozumieniu tego wyrazu, podnosi go po nad poziom powszedniości. Bez naruszenia prawdy, odtwarza artyst-

ka typy w całem tego słowa znaczeniu piękne, opromienione aureolą kreacyi estetycznej.

Dodajmy jeszcze, że panna Pospieszilówna jest młodą, a więc ma przed sobą długą jeszcze przyszłość, że sztukę kocha i traktuje ją poważnie, a śmiało, możemy przepowiedzieć jej świetne powodzenie już nie na scenie pragskiej tylko. Panna P. ma zamiar odbyć wędrówkę artystyczną, w czem jej życzymy powodzenia i dziękujemy, że o nas najpierw pomyślała.

Mówiąc o „Fru-Fru", zbytecznem byłoby dodawać, iż obok gościa czeskiego, najgorętsze oklaski zbierał Żółkowski.

Z innych artystów, grających w tej sztuce, zaszczytnie wymienić należy panie: Lüdową i Lebrunową, oraz pana Leszczyńskiego.

E. Zorjan.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** W przeszłym tygodniu otwartą została Wystawa kucharska, o której obszerne sprawozdanie damy w przyszłym numerze, gdyż zasługuje na to tak starannością urządzenia, jak i osób zajmujących się jej przygotowaniem.

*** W N-rze 480 „Biesiady Literackiej", podana jest ciekawa wiadomość o posągach postawionych w Padwie Janowi Sobieskiemu i Stefanowi Batoremu, przez Stanisława Augusta przy *Plate della Valle*, inaczej *Piazza Vittorio Emanuele II.*

„W południowej części Padwy, roztacza się wielki plac okrągły, otoczony wałem; w starożytności był on bujną łąką, służącą za miejsce wieczornych przechadzek. W czasach, gdy sławna akademia padewska ściągała do siebie z całego świata chciwą wiedzy młodzież, łąka ta zamiast ziół i kwiatów, zaczęła zapełniać się szeregami kolumn i posągów, wznoszonych na cześć zasłużonych uczni i opiekunów tejże akademii. *Dziś* jeszcze majestatycznie wznoszą się ku niebu te postacie wśród uroczystej ciszy, który tylko kiedy niekiedy przerywają kroki jakiegoś przechodnia. Tylko w dzień św. Antoniego rozlega się tu głośny gwar i wrzawa, z okazyi dorocznego dwutygodniowego jarmarku... Jeźli polski wędrowiec zajdzie na ten plac, ujrzy z radością dwie drogie sobie postacie, w strojach narodowych: Stefana Batorego i Jana III. Posąg Stefana Batorego, oznaczony jest N-rem 74, Jana III 75, z odpowiedniemi napisami w języku łacińskim.

W znanych nam podróżach po Włoszech, nie napotkaliśmy o tem wzmianki.

W tymże artykule wspomniane jest o pomniku, jaki Stanisław postawił Sobieskiemu w Łazienkach i uroczystościach, jakie w stuletnią rocznicę osbobodzenia Wiednia (1783 r.) rozpoczęły się w Warszawie, z chwilą odsłonięcia pomnika. Dodamy tu jeden jeszcze szczegół. Gdy król z dworem udał się do Łazienek na tę uroczystość, znaleziono wypisany pod pomnikiem następującz czterowiersz:

Stanisław co nas sławy naszych ojców zbawił,
Janowi Sobieskiemu pomnik ten postawił,
Koszt łożył sto tysięcy —jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał a Jan trzeci ożył.

Zobaczywszy to, wszyscy zmieszali się niewymownie; król zbladł ale nie rzekł ani słowa; ktoś przytomniejszy podstąpił i zdarł kartę. Wiersz obiegał całą Warszawę; nikt nie wiedział, kto go mógł napisać — po cichu jednak przypisywano go Trembeckiemu.

*** „Nowosti" podają oryginalny projekt pewnego grona kapitalistów petersburskich, zamierzających otworzyć „Assekuracyę wykształcenia dla dzieci mniej zamożnych rodziców.

Jak tylko dziecko przyjdzie na świat, rodzice assekurują go na średnie lub wyższe wykształcenie i jeźli dziecko dożyje oznaczonych lat, kosztem towarzystwa assekuracyjnego otrzyma odpowiednie wykształcenie. Ma się rozumiéć, że towarzystwo nie odpowiada za lenistwo lub brak zdolności assekurowanych. Ze względu na znaczną między dziećmi śmiertelność, opłata ma być nie wielka. Działalność towarzystwa ma być rozciągniętą i na królestwo. Według „Nowosti" wspomnieni kapitaliści wnieśli już odpowiednie podanie do ministra spraw wewnętrznych.

*** Donoszą do „Kuryera Warszawskiego", iż we wsi Słaboszewice, pod Pleszowem (w poznańskiem), należącej do pana A. Taczanowskiego, w miejscowym parafialnym kościołku, znajduje się portret Stanisława Skrzetuskiego, rotmistrza województwa kaliskiego, bohatera „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza. Świadczyć mają o tem podpisy położone pod obrazem.

*** Wiedeńska „Morgen Post" zamieściła portret Kraszewskiego, wraz z sympatyczną wzmianką o czcigodnym nestorze naszych powieścio-pisarzy.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** W tygodniku czeskim „Komensky", zamieszczony jest szereg lekcyi znanego filologa czeskiego, Franciszka Wymazala, których celem zaznajomienie młodzieży czeskiej z językiem polskim. Metoda wykładów jest bardzo praktyczną, a jakkolwiek nie dozwolą one nabyć gruntownej znajomości języka naszego, w każdym razie poznają go o tyle, że będą mogli czytać i rozumiéć książki polskie.

*** Wydawcy francuzcy, coraz częściej zwracają się do naszych artystów. P. Rajchan, malarz lwowski, otrzymał obecnie od wydawcy paryzkiego Quentin'a zaszczytne polecenie illustrowania dzieł Feuillet'a i Daudet'a.

*** Berlińskie „Echo" donosi o pojedynku odbytym pomiędzy pewnym Poznańczykiem a Niemcem, o obrazę języka polskiego, Niemiec odniósł śmiertelną ranę.

*** Pomiędzy ofiarami trzęsienia ziemi w Hiszpanii, znajduje się rodzina polska, Szymkajłów. Matka, zginęła w gruzach, ojciec ocalał, gdyż jako rysownik wydalił się na studya ze sztabem topograficznym. Siedmioletnią córeczkę ich, Krystynę, król polecił umieścić na koszt własny na jednej z pensyi w Madrycie.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie spacerowe. Suknia z aksamitu w pasy, naszyta szerokiemi falbanami z wełnianej koronki. Długa fartuszkowa tunika z ciemniejszego kaszmiru; takiż stanik z kamizelką koronkową. Kapelusz słomkowy z wysoką główką, zdobny z przodu piórami; rondo dyademowe podszyte aksamitem.

Ubranie spacerowe. Suknia z mieniącej materyi jedwabnej, układana w kontrafałdy. Suto bufowana draperya z ciemnej materyi, takiż stanik bawełowy, przysłonięty krótkim kaftaniczkiem z mienionej materyi, przypiętym guziczkami do przodów. Kapotka koronkowa z rondem aksamitnem, zdobna z przodu nad czołem kwiatami i piórami.

OD REDAKCYI.

☞ Tom pierwszy pism Alberta Wilczyńskiego, ozdobiony portretem autora, już wyszedł i obejmuje początek:

„Kłopotów Starego Komendanta".

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na premium nadzwyczajne dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:* za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20 *w Cesarstwie i na Prowincyi* wraz z przesyłką pocztową: za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:* za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40 *w Cesarstwie i na Prowincyi* wraz z przesyłką pocztową: za tom rs. 1 k. 50; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава 13 Марта 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Dodatek.